

Cena egz. 400 000 mk.

MYŚL WOLNA

Organ Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich

№ 1 (21).

Styczeń 1924 r.

Rok III.

*„Kto nie czyni jak myśli,
myśli w sposób niedoskonały”.*

M. Guyau: Moralność bez zobowiązań i sankcji.

TREŚĆ: Komunikat Zarządu Stowarzyszenia. J. Hempel: Wolnomyślicielstwo na rozdrożu. *Dyskusja:* J. Baudouin de Courtenay: Czy ateizm i myśl wolna wykluczają się nawzajem. A. Patla: Przyczynki do psychologii religii i myśli wolna. Kącik polemiczny. Sprawy bieżące. Odpowiedzi redakcji.

Zarząd Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich

wzywa zarządy poszczególnych kół w Warszawie i na prowincji do zwołania ogólnych zebrań swych członków w ciągu stycznia i lutego r. b.

Na zebraniach tych, poza sprawami miejscowymi, winien być dokonany wybór delegatów, po jednym delegacie na każdym dziesięciu członków koła, na

II Zjazd Krajowy Stow. Wolnom. Polskich.

Zjazd ten odbędzie się w Warszawie w m. marcu r. b.; ścisły termin oraz porządek obrad zjazdu będzie ogłoszony oddzielnie.

Listy wybranych delegatów oraz wnioski kół i poszczególnych członków na Zjazd winny być przesłane do kancelarii Stow. (Królewska 16) do dnia 20 lutego r. b.

W zjeździe mogą brać udział wszyscy członkowie Stowarzyszenia, wszakże tylko z głosem doradczym.

Artykuł poniższy otrzymaliśmy od p. Hempła w przedzień zamknięcia numeru, nie mieliśmy przeto możności natychmiastowego nań odpowiedzenia. Chociaż ani w zasadzie, ani w szczegółach z założeniami i wywodami autora się nie zgadzamy, drukujemy jednak ten jego „przedzjazdowy” artykuł, jako wyraz poglądów pewnej grupy członków naszego stowarzyszenia, a zarazem w myśl naszych zasad wolnomyślicielskich, tak gorąco zresztą przez p. Hempła zwalczanych. Szczegółowszą odpowiedź pomieścimy w najbliższym numerze naszego pisma.

Redakcja.

Wolnomyślicielstwo na rozdrożu.

(Ku rozwazdze delegatów na zjazd).

S. W. P. samo nie wie, czym jest.

Już bez mała dwa lata wychodzi „Myśl Wolna”, będąca głównym przejawem działalności S. W. P., a do dnia dzisiejszego nikt nie umiałby odpowiedzieć na pytanie — czego właściwie chce to pismo? ku czemu prowadzi? — Wyraźnym dowodem tej bezkierunkowości jest obfitość artykułów na temat zasadniczy: — czym jest wolna myśl? co mają robić wolnomyśliciele? — Oto spis ważniejszych tego rodzaju artykułów:

- Nr. 1. Rzecz o istocie Myśli Wolnej — Romuald Minkiewicz.
- Nr. 2. Zadania wolnomyślicieli w Polsce. — Jan Hempel.
- Nr. 1 (9). Zadania prasy wolnomyślnej. Marjan Tadeusz Lubecki.
- Nr. 2 (10). O zadaniu Wolnej Myśli. — Skowronek.
- Nr. 4 (12). Myśl wolna — myśl zorganizowana. — Józef Landau.
- Nr. 4 (12). Ruch wolnomyślicielski a życie społeczno-polityczne. — J. Straszewski.
- Nr. 4 (12). Wolnomyślność a człowiek pracy. — Józef Kobyłecki.
- Nr. 5 (13) i Nr. 6 (14). Wolnomyślicielstwo zagranicą i u nas. — Jan Hempel.
- Nr. 6 (14). Deklaracja ideowa Warszawskiego Koła Akademickiego S. W. P.
- Nr. 9 (17). Wolnomyślicielstwo a filozoficzna myśl idealistyczna. — St. A. Kempner.
- Nr. 9 (17). Z rozmyślań nad wolnomyślicielstwem. — Marjan Tadeusz Lubecki.
- Nr. 10 (18). Ateizm a myśl wolna. — Józef Landau.
- Nr. 11 (19). Zadania Wolnomyślicielstwa w Polsce. — Władysław Gacki.
- Nr. 12 (20). W sprawie ateizmu i wolnomyślicielstwa. — D. Jabłoński.
- Nr. 12 (20). Ateizm czy „Himmelfahrt”. — Zygmunt Tonecki.

Redaktorowi trzeba dać program.

Aż piętnaście artykułów, będących wyrazem poglądów bardzo rozmaitych, często zasadniczo sprzecznych. Między temi artykułami jest tylko jedno wypowiedzenie się grupy zorganizowanej — Deklaracja Akademicka — reszta to wyrazy poglądów osobistych. Uważam, że dwa lata — to wystarczająco długi okres przygotowawczy, a piętnaście artykułów zasadniczych — to dostateczny materiał do dyskusji, i że pora nareszcie powiedzieć sobie na nadchodzącym zjeździe, czem jest S. W. P., i co ma do roboty? — Boć „Myśl Wolna” ani nie może być mównicą, na którą wejść wolno każdemu przechodniowi, któremu dla jakichbądź powodów w żadnym innym miejscu nie udzielili głosu, ani też organem osobistym takiego lub innego redaktora. Wolną trybuną „Myśl Wolna” ani chwili nie była i być nie mogła; natomiast w pierwszym roku swego istnienia była organem osobistym p. Romualda Minkiewicza, a w drugim roku p. Józefa Landaua.] x

Póki S. W. P. nie posiada programu własnego, nie pozostaje zarządowi nic innego prócz powierzania redakcji takiemu lub innemu redaktorowi, obdarzając go szerokimi pełnomocnictwami. Pora już jednak skończyć z tą tymczasowością i szukać redaktora do jasno sformułowanego programu, a nie czekać aż redaktor powie, czem ma być organ S. W. P.

Dyskusja ujawniła dwa kierunki.

W wymienionych artykułach ujawniły się dwa kierunki zasadnicze. Jeden, który chciałby, aby S. W. P. było czemś w rodzaju gminy wolnoreligijnej, grupą poszukiwaczy Boga (bogoiskatielej — jak mówią Rosjanie) i drugi, który uważa, że zadaniem S. W. P. jest poprostu walka z przesadami religijnymi jako z przeżytkiem i jako z narzędziem do oglupiania i wyzyskiwania mas pracujących.

Zejdźcie na fałszywą drogę.

W czasach ostatnich „Myśl Wolna” stała się niemal organem poszukiwaczy Boga. Kierunek przeciwny jest ledwo tolerowany jako myśl obca, której uprzejmie daje się możność wypowiedzenia się. Spójrzmy na drogę, która do tego doprowadziła.

Za początek tego zbłąkania uważam dopisek do artykułu p. J. Straszewskiego w Nr. 4 (12), gdzie redaktor — żadną uchwałą zjazdu ani zarządu do tego nie upoważniony — oświadczył, że „nigdy nie było celem S. W. P. współdziałanie z klasowym ruchem zawodowym”.

Pan Kempner gromi materialistów.

Wkrótce potem, w Nr. 9 (17-ym), p. St. A. Kempner od-
czuwa dziwną potrzebę odgraniczenia się od materializmu filo-
zoficznego (równie nieuzasadnionego — zresztą — jak idealizm
p. St. A. Kempnera) i obficie używając takich nic nie oznaczą-
jących wyrażen jak „wolny duch”, „świat ideału w którym duch
nad zmysłami przewodzi”, usiłuje przekonać czytelnika, że cho-
ciaż jest „materialistą dziejowym”, w gruncie rzeczy jest ideali-
stą, to znaczy osobą dla burżuazji zgoła nie niebezpieczną.

P. Lubecki gromi bezbożników i powołuje się na mistyka Bier- diajewa.

W tym samym numerze p. M. T. Lubecki uważa za potrze-
bne zwalczać mniemanie, jakoby wolnomysłicielstwo można by-
ło utożsamiać z bezbożnością. Wolnomysłicielstwo podług nie-
go winno być pewnego rodzaju udoskonaloną religią i — jak
każdy ksiądz, rabin lub bankier czy obszarnik — ostrzega, że
bezbożność „sprowadzi niechybnie obniżenie poziomu etyczne-
go”. Kończy wreszcie swój artykuł następującem zdaniem ro-
syjskiego mistyka Bierdiajewa: „straszne zło przeszłości... ale
jeszcze straszniejsze zło przyszłości, zło następujące (może —
„nadchodzące”?) ostateczna niewola ducha... A za nie każdy
jest odpowiedzialny, gdyż każdy może służyć jego wcieleniu, al-
bo odepchnąć je i zwalczyć!”

Dodajmy tu, że p. M. T. Lubecki bardzo trafnie wybrał
cytatę z Bierdiajewa, gdyż doskonale ona charakteryzuje wszy-
stkich poszukiwaczy Boga. — Podług Bierdiajewa obawiać się
należy nie tyle przeszłości, gdzie były mocne kościoły, utrwa-
lone panowanie klas posiadających, stałe, na niewolnictwie
oparte obyczaje i stała na wyzysku założona moralność i filozo-
fja, ile strasznej przyszłości, z której wyziera całkiem nowy spo-
sób produkcji, nowa moralność, nowa filozofja i zniesienie wszy-
stkiego, co było święte. — Druga część cytaty jest nie mniej
znamienna, a znaczy ona tyle: nie potrzeba ci, człowieku, po-
dejmować zorganizowanej walki społecznej, nie potrzeba ci
troszczyć się o to, że ciebie i twych braci ktoś tam wyzyskuje—
myśl tylko o swem własnem udoskonaleniu wewnętrznem, szu-
kaj w sobie Boga, służ jego wcieleniu, a resztę uważaj za nędz-
ne znikomości świata tego. — Wszystkie kościoły nauczały te-
go samego, wszyscy wyzyskiwacze zawsze podtrzymywali ta-
kich proroków.

P. Landau — pobożny wolnomysłiciel.

Po tych wystąpieniach pp. Kempnera i Lubeckiego zabie-
ra głos sam redaktor, p. Landau, i w Nr. 10 (18) wyklada o róż-

nicy między „ateuszem“ a „wolnomyślicielem“, wypowiadając się przeciwko ateuszom a w obronie pobożnego wolnomyślicia.

„Myśl Wolna“ stała się organem do walki z bezbożnikami.

Pan Gacki — przyjaciel „duszy modlącej się“.

Wszystko to widocznie ogromnie się podobało p. Władysławowi Gackiemu; poczuł się w swoim gronie i poczęstował (Nr. 11 (19) czytelników takim zdaniem: — „Wolnomyśliciel ateusz, występujący z całym arsenałem argumentów przeciw istnieniu Boga, zwalczający go z namiętnością, ze stanowiska prawdziwie wolnej myśli jest niebezpieczniejszy, stanowi grunt podatniejszy dla fanatyzmu, niż dusza modląca się do swego Boga“.

Jest to zupełnie wyraźne oświadczenie, że p. Gacki uważa się za bliższego duchowo księdzu lub dewotce niż bezbożnikowi. — Krok dalej w tym samym kierunku, a wolnomyślicielstwo polskie uzna, że prawdziwy, wzniosły, idealistyczny wolnomyśliciel musi być ochrzczony albo obrzezany, kto zaś tego nie dokonał, ten jest pogardy godnym „ateuszem“.

Znamienne przytem jest, że ten sam redaktor, który uważał za konieczne dać dopisek do artykułu p. J. Straszewskiego, nie ma nic do sprostowania w artykule p. Gackiego. — Od związków zawodowych „wolnomyśliciel“ musi się odgraniczać, ale z dewotkami może iść razem przeciw bezbożnikom.

„Myśl Wolna“ — organem poszukiwaczy Boga.

Wyraźnie zaznaczająca się tu droga — od obcości względem robotniczego ruchu klasowego do sympatji ku „duszom modlącym się“ — bynajmniej nie jest czemś wyjątkowem; — przeszło ją wielu poszukiwaczy Boga. — Ale słów parę o tych — nieraz namiętnych — łowcach Pana Boga.

Poszukiwacze Boga.

Jeszcze przed wojną nie brakowało w krajach zachodnich i w Rosji różnych poszukiwaczy Boga. Po wojnie jednak wybuchła istna epidemja tej choroby. — Podatny grunt znalazło to w Niemczech między zbankrutowaną powojenną inteligencją i drobnomieszczanstwem, które tak boleśnie obudziło się z upiścia marzeniami nacjonalistycznymi. Nadewszystko jednak rozwinęło się poszukiwanie Boga między oderwaną od życia i z dniem każdym coraz dalej w pustkę lecącą — emigracją rosyjską. — Bo i cóż ma począć ta biedna, głodna, zawieszona między niebem a ziemią, zapędzona przez historję w zaułek zakończony przepaścią — emigracja rosyjska? Zawiodły wszystkie nadzieje, wszystkie rozumowania, wszystkie teorie. Nie po-

zostało nic, prócz bolesnego przeświadczenia, że było się beznadziejnie, potwornie głupim i ślepym i nie pozostało nic prócz palącego poczucia jakiegoś, gdzieś, niewiadomo przez kogo popełnionego grzechu, utracenia jakiegoś bezcennego skarbu — utracenia Boga. I oto odbywa się namiętne, szalone, poszukiwanie straconego Boga. Szukają go w dziejach, w przyrodzie, w rodzinie, w miłości do kobiety, w sobie samym — w czem chcecie zresztą. Goniłwa za złudą półobłąkanego z bólu umysłu własnego. Albo — jeśli wolicie — goniłwa psiaka za własnym wiecznie mu uciekającym ogonem.

Polscy poszukiwacze Boga.

Wielka emigracja polska po roku 1831, kiedy zdawało się, że coś zasadniczo popsuło się na świecie i kiedy ludzie, przedtem czynni, zawisli w powietrzu bez gruntu pod nogami — wydała najwybitniejszych polskich poszukiwaczy Boga. — Ale to temat zbyt obszerny, aby go tu omówić. — W Polsce dzisiejszej również nie brak poszukiwaczy Boga — choć maleńkich w porównaniu z olbrzymami wielkiej tragedji narodowej. — Oczywiście darmo szukalibyśmy ich między zorganizowanymi i czynnymi w życiu społecznem przedstawicielami klasy robotniczej. Natomiast inteligencja, nie zrosnięta z żadną żywą klasą społeczną i wisząca między niebem a ziemią, jest najwłaściwszem dla nich środowiskiem. Czują oni, że życie jest zgoła nie takie, jakby być powinno, czują, że jest coś złego, bardzo złego dookoła, ale nie mają odwagi do spojrzenia w twarz przyczynom tego zła, nie mają ani odwagi ani sił do stanięcia w szeregach walczących, do wzięcia na siebie za co bądź odpowiedzialności. Ludzie ci postanawiają szukać Boga, bo to jest dzisiaj policyjnie dozwolone, bo to nie psuje opinji w kołach urzędników, reakcyjnych literatów i czcigodnych handełesów wszystkich wyznań, bo to do niczego nie obowiązuje — a jednocześnie bo to dostarcza tak niewymownie słodkiego przeświadczenia, że jest się człowiekiem wzniosłym i spełnia się wielką, a przez innych niedocenianą misję.

S. W. P. nie może być gniazdem poszukiwaczy Boga.

Stowarzyszenia wolnomysłicieli na całym świecie są prosto stowarzyszeniami bezbożników i zakładane są dla propagandy bezbożności. Tak jest we Francji, w Belgji, w Niemczech, w Czechach i t. d., ale w katolicko-obrzezanej Polsce wszystko musi być bardziej wzniosłe — nie takie poziome i praktyczne, jak u tych głupich Francuzów lub Czechów. — To też zamiast walczyć z księżmi i rabinami, zamiast ujawniać ich zdzierstwa i oszukaństwa, zamiast poświęcić wszystkie siły od-

słanianiu tajemnic ksiąg świętych i świętych obrzędów, zamiast ujawniać wpływy klerykalne we wszystkich dziedzinach naszego życia, zamiast właśnie piętnować obłudę i małość duchową poszukiwaczy Boga — organ S. W. P. sam stał się ogniskiem tej zarazy.

Najbliższy zjazd powinien kres temu położyć przez uchwalenie jasnego i wyraźnego programu działania; powinien powiedzieć wyraźnie, czym jest stowarzyszenie i jakim celem społecznym służy. — Jeśli S. W. P. nie ma zginąć na bezdrożach myśli obłądanej, zjazd musi uchwalić, że

S. W. P. powinno być organizacją bezbożników dla propagandy bezbożności.

Nie trudno przewidzieć, że w takim postawieniu sprawy nasi poszukiwacze Boga dostrzegą poważne niebezpieczeństwo „obniżenia poziomu moralnego”. I przyznać muszą, że jeśli chodzi o to środowisko inteligentów, z którymi ci panowie mają do czynienia i z których potrzebami się liczą — to obawy te są słuszne. Inteligent — niepodległy w swem myśleniu i czynach nie zrośnięty ideowo z żadną klasą o dążeniach wyraźnych, nie zaciągnięty do żadnych szeregów, bezładnie niby liść jesienny to tu to tam miotany sprzecznymi prądami własnych namiętności i oddziaływań społecznych, z których nie zdaje sobie sprawy — rzeczywiście nie ma nic innego prócz Boga; i jeśli ten Bóg mu zniknie — jak to stało się już oddawna — jedynym ratunkiem przed upadkiem moralnym, przed zniechęceniem, przed śmiercią duchową staje się poszukiwanie zgubionego Boga — choćby z przyczajonem w kąciку duszy ironicznym przeświadczeniem, że to tylko samooszukiństwo, zabawa z sobą samym w szukanie czegoś, czego znaleźć nie można.

Zorganizowanemu przedstawicielowi klasy robotniczej bóg jest niepotrzebny.

Natomiast dla człowieka zrośniętego z żywą i w jutro dążącą klasą społeczną, dla żołnierza wielkiej armji, idącej mocnym krokiem na zdobycie i przekształcenie świata, dla człowieka, dźwigającego na ramionach brzemień wielkiej odpowiedzialności i bacznie pilnującego każdej myśli własnej, każdego poruszenia uczuciowego, które mogłoby go duchowo wytrącić z szeregów i zmylić mu krok — Bóg jest czemś niepotrzebnym, a bezbożność zgoła nie skokiem w próżnię ideową i rozpasaniem popędów najniższych, lecz prosto wyrzuceniem z domu i z głowy przeżytków, które tylko zawadzają.

Propaganda bezbożności nie jest spotwarzaniem rzeczy istotnie świętych, ani nie jest zgnilizną, wżerającą się w podwa-

liny życia duchowego, to poprostu uprawnienie do wymiatania starych śmieci.

Być może — wreszcie, że w dzisiejszym okresie przełomowym i w środowisku ludzi szczególnie niezdecydowanych, ludzi na rozdrożu, poszukiwanie Boga spełnia nawet pewną funkcję pożyteczną: — pozwala im jakoś tam przeżyć. To możliwe. Pa-larnie opjum także zapewne potrzebne są niektórym nieszczę-śnikom; S. W. P. jednak musi wyraźnie powiedzieć, czym jest i czym chce być: — kapliczką dla poszukiwaczy Boga, czy zdro-wą organizacją społeczną do pomagania ludziom w uwalnianiu się od starych przesądów?

Jan Hempel.

Czy ateizm i Myśl Wolna wykluczają się nawzajem.

Artykuł dyskusyjny.

W jednej ze swych czarujących pieśni Henryk Heine ma-luje scenę rozprawiania kilku panów i pań o miłości:

„Sie sassen und tranken am Theetisch
und sprachen von Liebe viel...“

(Siedzieli i pili herbatę przy stole i mówili wiele o miło-ści...).

Były to puste ogólniki bez żywej treści. Kończy zaś poeta ten wierszyk następującą zwrotką:

„Am Tische war noch ein Plätzchen,
Mein Liebchen, da hast du gefehlt;
Du hättest so viel, mein Schätzchen,
Von deiner Liebe erzählt“.

(Przy stole było jeszcze jedno miejsce, ciebie tam brako-wało, moja ukochana; a tybyś mogła tak wiele opowiedzieć o swojej miłości).

Podobnie brak jest uzasadnienia wszelkim ryczałtowym charakterystykom „ateizmu“ i „wolnomyślicielstwa“. Jak nie-ma chorób zawsze jednakowych, a są tylko chorzy, tak też nie-ma ani oderwanego od podmiotu „ateizmu“ szablonowego, ani też oderwanej stereotypowej „myśli wolnej“. Są tylko żywi „ateusze“ i żywi „wolnomyśliciele“. Co prawda, wielu bardzo osobnikom, uważającym siebie za wolnomyślicieli, brak praw-dziwej wolnej myśli, którą zastępuje u nich myśl „karna i partyj-nie zorganizowana, albo też myśl, dyktowana przez przemijają-

ce impresje i sympatje; a znowu człowiek, któremu się zdaje, iż jest ateuszem, może być bardzo dalekim od prawdziwego rozumowego i rozumnego ateizmu. Rzekomy ateizm wypływa niejednokrotnie ze swoistego kabotynizmu, z żądy nowości i gonięcia za modnymi i efektownymi hasłami, dla olśnienia gawiedzi.

Może i ja łudzę się co do stanu swego umysłu pod tym względem, ale zdaje mi się, że mam prawo uważać siebie i za zdecydowanego „ateusza” i za „wolnomyśliciela” jednocześnie. Zgodnie zaś z zaznaczoną przezemnie bezwzględną indywidualizacją myślenia, nawet w głowach skończonych matoleków czyli kretynów, mogę i artykuł p. Landau „Ateizm i myśl wolna” (M. W. 1923 Nr. 10) omawiać jedynie ze swego osobistego stanowiska, nie pytając wcale o zgodę i aprobatę innych czy to „ateuszów”, czy też „wolnomyślicieli”.

Ateizm ma być „negacją”; twierdzi bowiem, jakoby, że nie istnieje żadna istota, wywierająca wpływ na bieg wszechświata. Zapytuję tedy: Skąd wiemy o tej „istocie”? Przecież dowiadujemy się zarówno o niej samej, jako też o wszelkich „objawieniach boskich”, o „naukach i wskazaniach bogów” i t. d., jedynie tylko od takich samych ludzi, jakimi my sami jesteśmy, od ludzi, powtarzających te rzekome prawdy za swymi poprzednikami. Wiare w tę „istotę” z przyległościami wpojono w nieodporny i niekrytyczny umysł dziecka i wogóle słabogłowca, i to ma nam wystarczać. Należałoby żądać nie bezmyślnego powtarzania pacierza za panią matką, nie przysięgania na słowa mistrza (jurare in verba magistri), ale dowodów istotnie przekonujących. Takich dowodów niema i być nie może. Ani „ateusz”, ani nikt inny nie może negować tego, czego istnienie nie da się racjonalnie udowodnić. Najprzód dowiedzcie, ale dowiedzcie rozumowo, nie zaś frazesami, zabarwionemi poezją i sentymentem, a dopiero później pomówimy. Co więcej, „ateusz” wcale nie neguje; on powiada jedynie, że nie wie, bo to jest niedostępne dla jego umysłu.

Jeżeli kto naprawdę „neguje”, to właśnie „wolnomyśliciel” w ujęciu p. L. Przecież, utożsamiając „ateusza” z uczonym wogóle, a z przyrodnikiem w szczególności, i najgrawając się z „ateusza”, traktuje z góry badania naukowe, lekceważy sobie zdobycze nauki, które ona zawdzięcza prawdziwej myśli wolnej, t. j. myśli, niekrepowanej interwencją w sprawy świata jakiejś „istoty” kapryśnej, bo ucłowieczonej, a nie rzekomej myśli wolnej, przyjmowanej przez „wolnomyślicieli”, przeciwstawiających się „ateuszom”.

Gdyby istotnie uczeni, t. j. „ateusze”, przyjmowali „siły ślepe, od nikogo niezależne, istniejące i działające same przez się, bezwolne, podległe prawom ogólnym”, wydaliby sobie świadectwo ubóstwa. Bo czemżeby to były owe „siły ślepe ist-

niejące"? Byłyby to również istoty, takie same jak bóstwa, tylko że „ślepe”, gdy tymczasem bóstwa uczłowiczone mają oczy widzące i uszy słyszające.

„Wolnomyśliciela” drażnią prawa ogólne. Jemu chodzi o to, ażeby zjawiska były „wynikiem zewnętrznej od czegoś lub kogoś zależnej świadomej woli”, ażeby to, co rządzi i kieruje światem, nie ulegało żadnym prawom, a postępowało samowolnie, ażeby to było czemś w rodzaju boga kapryśnego, historycznego, igrającego światem, na podobieństwo człowieka despoty, od którego widzimisię zależą losy poddanych.

Tylko naiwny uczoney, inaczej „ateusz”, może uważać „siły”, „prawa” i t. d. za istoty. Nazwy te są złem koniecznym, bo, dzięki właściwości naszego myślenia wogóle, skojarzonego z myśleniem językowym, wszystko, o czym się myśli, wciela się ostatecznie w wyrazy substancjalne, w rzeczowniki; rzeczownik zaś to istota, a nawet, przy pewnym napięciu i spotęgowaniu, bóstwo, stworzone na obraz i podobieństwo człowieka.

To też, czy to Bóg jedyny bezwzględnie monoteizmu (oczywiście nie chrześcijaństwa historycznego, bardzo dalekiego od ideologii ściśle monoteistycznej), czy też rozmaici bogowie i boginie kultów politeistycznych, czy to bożkowie, bóstwa, zjawiska przyrody ubóstwione, istoty żywe i martwe, czczone jako fetysze, wszystko to są wyobrażenia uczłowiczone.

Zaznaczam to tymczasem w kilku słowach. Może później uda mi się rozwinąć to obszerniej. Ale i tego, co tu powiedziałem, wystarczy chyba dla usprawiedliwienia „ateuszów” czyli **niektórych** ludzi, myślących naukowo, dla czego nie odrzucają ostentacyjnie starych bogów i nie kuszą się o szukanie nowych. Jałowa to praca i czas na darmo stracony, boć, tak czy owak, zawsze dotrzemy tylko do jakiegoś olbrzymiego człowieka lub antropoida, udekorowanego zaszczytnym mianem bóstwa. Dla nauki, jako dla badania, opartego na spostrzeżeniach, na doświadczeniach, na logice i wogóle na myśli prawdziwie wolnej, hipoteza bóstwa uczłowiczonego jest całkiem zbyteczna. Co innego, jeżeli chodzi o „czucie i wiarę”, które „silniej mówią”, niż „mędrca szkiełko i oko”. Wtenczas można albo zadowolnić się jednym z już stworzonych gotowych bogów, albo też na własną rękę stworzyć sobie jakieś nowe bóstwo. Zależy to od gustu i od nastroju.

Wolnomyśliciel p. L. wmawia w „ateuszów”, t. j. w uczonych, jako w badaczy nie tylko przyrody, ale także psychiki dostępnej badaniu oraz życia społecznego, jakoby oni twierdzili, że poza zjawiskami przyrody w rodzaju elektryczności „nic innego niema”. Zdarzają się wprawdzie tacy zajadli fanatycy pseudo-pozytywizmu. Ale, przypisując takie poglądy wszystkim badaczom i mówiąc z przekąsem o nauce „niby-ściślej”, p. L.

obmawia uczonych. Prawdziwy uczony, t. j., według terminologii p. L., „ateusz“, nie jest tak naiwny, a nawet po prostu głupi. On tylko ogranicza się w swych wnioskach i hipotezach, nie wykiwa się psim swędem, nie obarcza odpowiedzialnością za to, co się dzieje w świecie, jakiegoś wielkiego kapryśnika, tak lub inaczej nazywanego. Ignoramus et ignorabimus (nie wiemy i nie będziemy wiedzieli) — oto hasło wszelkiego prawdziwego uczonego czyli „ateusza“.

Taki „ateusz“ nie zadawalnia się twierdzeniem, że „myśl jest wytworem pracy mózgu“, a mózg to „zbiorowisko komórek z których każda odpowiada jakiemuś odczuciu zmysłowemu“; ale za to każdy człowiek zdrowo myślący musi uznać, że bez mózgu nie znamy ani myśli, ani uczucia, ani popędów woli i nie możemy ich badać. Z drugiej jednak strony musimy się zgodzić, że i o mózgu, jak i o wszystkim innym, nie możemy nic mówić bez myśli. Cały świat badany musi się przetrworzyć w wyobrażenie naszej duszy czy też psychiki, ażeby stać się przedmiotem naszego poznawania, badania, wnioskowania i hipotezowania. Oczywiście nie przesądza to wcale metafizycznej kwestji o istocie duszy ludzkiej i zwierzęcej.

Prawdziwego uczonego, t. j., w interpretacji swoistego wolnomyśliciela, po prostu „ateusza“, nie przeraża ani myśl o obalaniu uznanych prawd, ani też ewentualność stworzenia teorii, przeciwnej dotychczasowym poglądom. Przecież cała historia wiedzy ludzkiej i poszczególnych nauk składa się właśnie z takich zmian i przesunięć. Stare hipotezy i teorie ustępują nowym. Oczywiście dzieje się to bez pomocy boskiej, bez stosowania deizmu, t. j. wiary w Boga. Deizm jest przytem całkiem zbędny, chociaż niektóre teorie bywają zaprawiane sosem deistycznym, t. j. wciąganiem i zaprzęgiem boga ucłowieczonego, jako starszego kolegi, do tych prac ludzkich.

Rozumny „ateusz“, odrzucając wszelkie dogmaty, nie zastępuje ich „dogmatem“ „ateizmu“, ale po prostu dla swego trzeźwego myślenia nie potrzebuje hipotezy bóstwa ucłowieczonego.

„Ateusz“ p. L. popełnia jeszcze inne bezceństwa. Oto dochodzi do pewnej granicy, „staje“, „wbija pal w piasek nadbrzeżny i kładzie napis: tu się ziemia kończy—dalej niema nic!“ Zapomniał przytem p. L. o czci światła niebieskich, t. j. słońca, księżyca i gwiazd, o astronomji i wogóle o badaniu świata poza ziemią, które to badanie doprowadza umysły o religijnem zabarwieniu do stwierdzenia wszechpotęgi bóstwa ucłowieczonego, jako stwórcy i gospodarza wszechświata.

To też wielu przyrodników, zaliczanych przez p. L. do „ateuszów“ i zgodnie z tem traktowanych, należy do ludzi pobożnych i w Boga wierzących. Jedno drugiemu nie przeszkadza

dza. Umysł badawczy nie usuwa potrzeb tak zwanego serca czyli uczucia.

Kto, negując naukę, zajmuje się natomiast poszukiwaniem Boga (tak zwanem po rosyjsku „bogoiskatelstwem”), może się zadowolnić nastrojem religijnym, niemą kontemplacją czyli wpatrywaniem się w oblicze bóstwa, czy to odziedziczoną po przodkach, czy też przez samego siebie wymyśloną. Po co się uczyć? po co badać? Wystarczy modlić się, aby ubłagać kapryśnika i despotę.

Według „ateusza”, scharakteryzowanego przez p. L., „istnieje tylko umysł ludzki i tylko to, co ten umysł zdolny jest pojąć; poza tem pustka i śmierć”. Otóż zdaje mi się, że prawdziwy „ateusz”, t. j. myśliciel poważny, nie jest tak głupi. Tylko nie porywa się na to, czego zbadać i pojąć nie jest w stanie; czysty zaś „wolnomyśliciel”, odżegnywujący się od „ateusza” barbarze się w tych dociekaniach i fuszeruje, stwarzając świat na swoją modłę, a boga na podobieństwo człowieka.

Jak stwarzanie boga i bogów przez pluskwę ludzką na swój obraz i podobieństwo jest objawem bezgranicznej megalomanji (obłądu wielkości) i dziecinnej zarozumiałości tej pluskwy ludzkiej, tak również byłoby objawem daleko większej zarozumiałości i potwornej megalomanji mniemanie, że pierwiastek psychiczny istnieje tylko w człowieku i w zwierzętach, a poza tem wcale go nie ma. Pierwiastek psychiczny, t. j. przedewszystkiem coś w rodzaju myślenia, jest oczywiście we wszechświecie, ale nie współmierny z naszymi władzami umysłowemi. Jesteśmy zanadto ograniczeni, jesteśmy za głupi, ażeby go sobie wyobrazić i pojąć. Daremne więc są wysiłki w tym kierunku, a to, co produkujemy pod nazwą różnych bóstw, jest nędznym erzacem Niewiadomego.

P. L. przeciwstawia właściwie myśliciela badaczowi, myśl wolną nauce ścisłej, a ironicznie „niby-ścisłej”. Ateusz tak się ma mieć do wolnomyśliciela, jak pozytywista do bujającego w obłokach metafizyka. W tem pomieszanju uczonego i badacza z ateuszem, a wolnomyśliciela z tonącym w mglistych marzeniach poszukiwaczem bóstwa ośmieliłbym się dopatrywać nie dość ścisłego rozróżniania pojęć.

P. L. mówi o „błędnem utożsamianiu wolnomyślicielstwa z ateizmem”. Według mnie tych dwóch pojęć nie należy ani utożsamiać, ani też je sobie przeciwstawiać. Można tylko jedno z nich, mianowicie ateizm, podporządkowywać drugiemu, t. j. wolnomyślicielstwu. W pojęciu wolnomyślicielstwa mieści się szerszy zakres a uboższa treść, w pojęciu zaś ateizmu więcej treści a węższy zakres. Ateizm jest jednym z gatunków ogólnego rodzaju wolnomyślicielstwa. Najdoskonalszymi zaś, najczystszyymi wolnomyślicielami są właśnie „ateusze”, t. j. myśliciele.

dla których hipoteza boga osobistego jest całkiem zbędna, marzycielski zaś panteizm (czyli utożsamianie wszechświata z boskością) stanowi po prostu poezję, może uroczą, ale nie mogącą służyć za podstawę trzeźwego myślenia. Co więcej, pomimo pogardliwego traktowania „ateistycznej ciasnoty umysłu” (M. W. 1923 Nr. 12 str. 10), pozwalam sobie twierdzić, że tylko ateusz jako prawdziwy **esprit fort** (duch silny), nie posiłkujący się przy swych wywodach pojęciem bóstwa, może być prawdziwym wolnomyslicielem. A tymczasem, według p. L., taki właśnie, jako przeciwstawienie wolnomyslicielowi, powinienby być wyłączony od współpracownictwa w piśmie wolnomyslicielskim, więc przedewszystkiem w „Myśli Wolnej”. Jeżeli się tam przedostaje, to jedynie tylko kontrabandą i dzięki, może za daleko idącej, wyrozumiałości i tolerancji Redaktora.

Wystawmy sobie jednak, że redaktorem pisma jest sekciarz i fanatyk „wolnomyslicielstwa”, przeciwstawianego „ateizmowi”, twórca nowego wyznania wolnomyslicielskiego, przeprowadzający ścisłą cenzurę dostarczanych mu artykułów. Taki redaktor przedzierzgałby się w nieomylnego i nieubłaganego cenzora, w despotę, w samowładcę, w dyktatora, uwzględniającego wprawdzie najrozmaitsze kierunki myśli wolnej, z tem atoli zastrzeżeniem, że nie będzie od nich zalatywało ateizmem.

Dla mnie zaś taka swoista „myśl wolna” jest nie myślą wolną, ale tylko marzeniem wolnem, bujaniem po obłokach, marzeniem, jeżeli nie o niebieskich migdałach, to przynajmniej o bogoczwłóczęństwie.

Według p. L. tylko „wolnomysliciel” jest w stanie „rozumieć wiarę innych ludzi”. Ja zaś sądzę, że przedewszystkiem jest do tego uzdolniony ateusz-wolnomysliciel. Ta wiara innych ludzi stanowi dla niego przedmiot badania w dziedzinie psychologii, psychiatrii, mitologii, socjologii, folkloru... „Stworzenie” zaś „sobie wiary dla siebie samego” jest przytem rzeczą zbyteczną; zależy ono od gustu i od temperamentu.

„Wolnomysliciel” p. L. „wwierca się myślą w zasłonę, dzielącą go od przeczualnej prawdy”, bo „za tym murem jest mój Bóg”. I po co to wszystko, kiedy tym „moim Bogiem” może być tylko co najwyżej człowiek kolosalnych rozmiarów?

Twierdzenie, że „najzjadlejsi ateusze stają się czasem przekonanymi i praktykującymi kościelnikami”, ale że „wręcz niemożliwym jest, aby wolnomysliciel pogodził się z przeżyta formą i ducha swego poddał cudzemu kierownictwu”, twierdzenie to uważam za głośowne. Jest ono wynikiem swoistej „myśli wolnej”, wolnej od obowiązku opierania się na ściśle zbadanych i określonych faktach. Co do obserwowanych przez p. L. „ateuszów”, to mogli to być zacierzewieni fanatycy pseudo-ateizmu, a nie ateusze-wolnomysliciele.

Protestuję najenergiczniej przeciwko twierdzeniu, jakoby ateusz „uważał człowieka wierzącego za niższego od siebie, za słabo rozwiniętego, a do wszelkich grup wyznaniowych odnosił się jednakowo wrogą”, gdyż sama zasada wiary jest dla niego zjawiskiem ujemnym”. Twierdzę przeciwnie, że właśnie ateusz, tak jak ja go pojmuję — nie fanatyk, ale ateusz wolnomyśliciel — żywi szczerze uznanie dla wszystkich wierzących, dla wszystkich tych, co potrzebują wiary z powodów uczuciowych. Ateusz wolnomyśliciel, t. j. bezwyznaniowiec nie fanatyk, kieruje się bezwzględą tolerancją i broni zarówno wierzących, jak niewierzących przed wszelkim gwałtem, czy to wyznaniowym, czy też bezwyznaniowym.

A tymczasem — według oświadczenia samego p. L. — jego wolnomyśliciel daje stopnie różnym religjom i wyznaniom, jest srogim cenzorem, dzieli grupy wyznaniowe „na wsteczne i postępowe, ciemne i oświecone, niechlujne i czyste”. Otóż zuchwalstwo moje sięga tak daleko, że w takim postępowaniu „wolnomyśliciela” ośmielałem się widzieć objaw pewnej zarozumiałości i megalomanji. Jestto wtrącanie się nie do swoich rzeczy. Każde wyznanie jest dla szczerze wierzącego święte, a o rozróżnianiu wstecznictwa i postępu, ciemnoty i oświaty, niechlujstwa i czystości nie może być przytem mowy.

W zakończeniu swego artykułu mówi p. L. o „rozumnie wierzących ludziach”. Zapytuję: to to będzie oceniał? Zapytuję też: czy rozmaici ojcowie kościoła, „święci” doktorowie, filozofowie różnych wyznań wierzyli nierozumnie? Ich logika, ich argumentacja i ścisłość wywodów bywały zwykle bez zarzutu. Może tylko w naszych oczach ich punkt wyjścia i przesyłki bywały fałszywe.

Raz na zawsze trzeba sobie powiedzieć, że zasada wiary jest irracjonalna. Tu niema ani rozumu, ani nierozumu. Jak mówimy o zjawiskach amoralnych, t. j. nie dających się określać i oceniać ze stanowiska moralności, tak również możemy mówić o zjawiskach, nie dających się podprowadzać pod pojęcie rozumu lub nierozumu. Zjawiska te po prostu są i jako takie zasługują na wszechstronne badanie i wyjaśnienie. Z tego stanowiska *alles was ist ist vernünftig* (wszystko co jest jest rozumne), jak podobno powiedział Hegel. Wiara jest potrzebą uczucia, jest osłoda w życiu lub skutkiem nieprzepartego dążenia do abstraktu.

P. L. dopuszcza łaskawie „ateuszów” do wspólnego frontu z „wolnomyślicielami” w walce z klerem, przyczem ponieważ słusznie, nie szczędzi temu klerowi niepoehlebnej, bardzo ostrej charakterystyki. Nie mam nic przeciwko walce z klerem, o ile na to zasługuje, ale pod warunkiem, że odbywa się to w sposób spokojny i przyzwoity. „Zwalczenie złośliwie szko-

dliwego wpływu na życie umysłowe społeczeństwa ludzkiego napastliwie mu się narzucających pośredników" sprowadziłyby się dało m. i. do następujących punktów:

1) Wykazywanie nonsensów i braku logiki w głoszonych przez nich naukach;

2) prostowanie fałszów historycznych;

3) na polu etycznym: walka z oszukiwaniem i tumanieniem ludku bożego, z szerzeniem bzdurnych przesądów, z handlem świętościami i t. d.;

4) walka z nadużywaniem religii do celów politycznych na usługach tej lub owej partji/np. z wywieraniem przy spowiedzi przymusu na dusze pobożne i uległe;

5) wyciąganie na jaw nadużyć kleru wszelkich wyznań na polu materialnem i gospodarczem;

6) wykazywanie i bezwzględne chłostanie przestępstw i nadużyć indywidualnych.

To ostatnie nie jest już walką z klerem jako takim, ale z pojedynczymi „sługami kościoła”; a taka walka wychodzi też na użytek samych kościołów, których te występne lub zwyrodniałe indywidualia są niegodnymi kompromitującymi przedstawicielami.

Na zakończenie krótka uwaga:

Odmawiając „ateuszowi” „zaszczytnej nazwy” „wolnomyśliciela”, lepiej otwarcie zlikwidować działalność pod hasłem wolnomyślicielstwa, a zamiast tego stworzyć nową sektę, sektę poszukiwaczy boga na własną rękę i na własne ryzyko, sektę konkurującą z firmami dotychczas znanymi i uznanymi.

Powtarzam to, od czego zacząłem:

Wszystkie swoje uwagi wypowiadałam nie w imieniu jakiegóż zrzeczenia zapowietrzonych i wyklętych „ateuszów”, ale jedynie we własnym imieniu.

J. Baudouin de Courtenay.

Przyczynki do psychologii religii i myśli wolna.

Najbardziej skomplikowane jak i najprostsze ewolucyjnie zjawiska kultury ludzkiej sprowadzają się do momentów psychologicznych i tylko psychologja tłumaczy je konkretnie. Z niej wypływają, przez nią się rozwijają i w niej mają swoje ujście...

Największe tajemnice przed którymi korzyły się genialne

umysły, t. zw. „objawienia“, znalazły rozwiązanie nie gdziein-
dziej jak w płaszczyźnie psychologicznej: człowiek poznał głę-
bszą warstwę swojego jestestwa, odkrył „logarytm własnej du-
szy“, poznał jedną z wielkich swoich tajemnic.

„Religia powstaje z uderzenia duszy o jej najgłębszą ta-
jemnicę“ zauważył trafnie Tadeusz Miciński.

Religia jest tylko rodzajowo różnym wytworem ducha
ludzkiego, a rodzonemi jej i równemi co do praw siostrami są:
nauka, sztuka, etyka, wynalazczość... Jest, jak twórczość nau-
kowa i artystyczna, głębszem skomplikowaniem uczuć i myśli,
i to jej pochodzenie. w niczem jej autorytetu nie podrywa, —
przeciwnie, podnosi! Pogląd na jej rodowód „niebieski“ nosi
w sobie wyraźne cechy kastowości, wzięte ze stosunków ludz-
kich.

Wszelka twórczość jest aktem wolnym i wolność jest jej
nieodzownym warunkiem.

Nie są to frazesy, ale niezbite psychologiczne prawdy. Im
twórczość jest więcej złożona (np. religijna) tym wewnętrzne
życie musiało posiadać więcej swobody. Niech posłużą przykła-
dy z życia codziennego: każmy się rozwijać dziecku pod wzglę-
dem higienicznym, nie wypuszczając go z dusznego pokoiku;
każmy uczonemu tworzyć wynalazki, niepozwalając mu myśleć;
każmy artyście tworzyć dzieło sztuki, paraliżując jego estetycz-
ne wzruszenie; każmy tworzyć prawdy religijne w atmosferze
najdalej posuniętego niewolnictwa i gwałtów wyznaniowych...

Ze wszystkich dziedzin twórczości religia wymaga bodaj
najwięcej atmosfery myśli wolnej, wolnej absolutnie. „Życie re-
ligijne jest to rzucanie się we wszystkie otchłanie bytu, z tą my-
ślą, z tem przeświadczeniem, że wszędzie znajdziemy się w nim
Nieśmiertelnemi“ (T. Miciński „Walka o Chrystusa“).

Takie życie religijne to nie odgradzanie się coraz ciasniej-
sze dogmatami ale burzenie ich, druzgotanie, ustawiczny pęd,
ustawiczne szukanie potwierdzenia siebie we wszechświecie
i naodwrot: to właśnie potrzeba... — Wolności!

W którymś z NNr. Myśli Wolnej postawił ob. Landau za-
gadnienie różnicy między Myślą Wolną a ateizmem i rozwiązał
je bardzo szczęśliwie. Ja z wymienionych motywów ośmielę się
postawić zagadnienie nieco inne, które rozwiążę w ten spo-
sób:

Pomiędzy twórczością religijną (oczywiście pojęcie religii
wzięte jaknajszerzej) a twórczością Myśli Wolnej nie zachodzi
żadna gatunkowa różnica, przeciwnie, w 90% swoich płaszczyzn
stykają się z sobą jak najściślej.

Myśl Wolna jest to również nic innego jak: „rzucenie się we wszystkie otchłanie bytu z tą myślą, z tem przeświadczeniem, że wszędzie znajdzie się w nim Nieśmiertelna”.

Antoni Patla.

Kącik polemiczny.

Mieszanie pojęć.

W artykule „Wolnomyślicielstwo zagranicą i u nas” (Myśl Wolna, r. 1923, Nr. 6, str. 15) p. Jan Hempel wmawia we mnie, że „nieustannie” „odgraniczam się od klasy robotniczej”. Tymczasem ja nie tylko „nieustannie”, ale nawet ani jednego razu nie odgraniczałem się ani od klasy robotniczej, ani od burżuazji, ani od arystokracji, ani od demokracji, ani wogóle od żadnej klasy społecznej, ponieważ uważam te wszystkie pojęcia za niewspółmierne z pojęciem wolnomyślicielstwa. „Sprzęgnięcie się” „ideowe i praktyczne” Stowarzyszenia wolnomyślicieli z klasą robotniczą jest dla mnie nonsensem.

Przeciwstawianie przez p. Hempla „łobuzerskiemu wolnomyślicielstwu indywidualnemu” „myśli karnej i zorganizowanej” znalazło należyłą i wyczerpującą ocenę w artykule pana J. Landau „Myśl wolna — Myśl zorganizowana” (M. W. 1923 Nr. 4), pod którym się bez zastrzeżeń podpisuję. „Karną i zorganizowaną” może być praca fabryczna, praca urzędnicza, praca nauczycielska, maszerowanie i wogóle manewry żołnierzy, ale nigdy myśl ludzka osobista i niezależna. A „myśl wolna” powinna być przede wszystkim ile możności niezależną. Proces myślenia nie jest ani burżuazyjnym, ani proletarjackim; może on być tylko ogólnie ludzkim, albo zgodnym z wymaganiami logiki i zdrowego rozsądku, albo też się z niemi kłócącym. Kombinacje i wnioski naukowe — o ile są istotnie naukowe — muszą być niezależne od tego, czy dany osobnik należy do klasy „kapitalistycznej”, czy też „proletarjackiej”. A wszelka myśl prawdziwie wolna, nie zaś tylko pozująca na „wolną”, nosi na sobie wybitne piętno myślenia naukowego, dążącego do bezwzględnej prawdy i nie dającego się przekupić żadnym interesem, czy to osobistym, czy też partyjnym.

Można na komendę, „karnie” i w sposób „zorganizowany” odprawiać pewne obrządki, klękać, żegnać się, śpiewać psalmy, wzywać Jehowę lub Ałłaha, ale trudno wzbudzać w so-

bie na komendę ten sam nastrój religijny, mieć te same wierzenia i uczucia. Myśl „karna i zorganizowana” staje się myślą niewolniczą, obowiązującą z konieczności we wszelkich ugrupowaniach wyznaniowych. P. Hempel żąda przymusu wyznaniowego, chociażby nawet pod hasłem „bezwyznaniowości”.

„Myśl karna i zorganizowana” jest możliwa tylko przy abdykacji z godności ludzkiej. Mięszanie zaś interesów klasy robotniczej z postulatami wolnomyślicielstwa jest dowodem pewnej chaotyczności myślenia.

Uwolnienie klasowe a uwolnienie myśli, wyzwolenie gospodarcze a wyzwolenie duchowe, socjalizm a wolnomyślicielstwo są to pojęcia z różnych dziedzin, chociaż, rzecz prosta, w życiu praktycznym walki w jednej i drugiej dziedzinie mogą być prowadzone równoległe i jednocześnie.

P. Hempel twierdzi, że „opierając się na zmurszałych poglądach wolnomyślicielstwa burżuazyjnego” i „odgraniczając się od klasy robotniczej”, Stowarzyszenie wolnomyślicieli skazuje samo siebie na zagładę. Tymczasem ja twierdzę, że właśnie „sprzęgnawszy się ideowo i praktycznie z klasą robotniczą”, Stowarzyszenie wolnomyślicieli podpisałoby wyrok śmierci na siebie. „Wolnomyślicielstwo” znikłoby i zostałoby pochłonięte przez interesy jednej tylko partji. Zamiast „myśli wolnej” pozostałoby egoizm klasowy lub partyjny.

P. Hempel nie ma prawa oskarżać mię o „nieustanne” „odgraniczanie się od klasy robotniczej”, gdyż nie zwierzałem mu się z moich poglądów na socjalizm i z moich sympatji w sprawach społecznych. Kto wie, czy nie okazałoby się, że ja nierównie więcej pragnę istotnego szczęścia i dobrobytu klasy robotniczej, aniżeli wielu rzekomych bojowników za interesy tej klasy, bojowników, nie cofających się przed przynoszeniem na ofiarę całych zastępów swych klientów, dla dogodzenia własnej ambicji i wcielenia w życie przemocą swych doktryn. Zastrzegam się, że do tych „rzekomych bojowników” nie zaliczam samego p. Hempla.

Nawiasem stwierdzam, że p. Hempel mylnie uważa za „datę narodzin wolnomyślicielstwa” w Polsce r. 1881, jako rok założenia „Prawdy” Al. Świętochowskiego. Za taką datę należy uważać rok 1867, t. j. rok założenia „Przeglądu Tygodniowego” Adama Wiślickiego, który, przynajmniej w stosunku do swych współpracowników, był nierównie większym wolnomyślicielem, aniżeli Świętochowski. Wiślicki był zwolennikiem prawdziwej myśli wolnej indywidualnej, Świętochowski zaś stał na stanowisku „myśli karnej i zorganizowanej”, i dla tego do artykułów współpracowników „Prawdy” stosował strychulec cenzorski według własnego widzimisie.

Na usunięciu „łobuzerskiego wolnomyślicielstwa burżua-

zyjnego" i na zaprowadzeniu obowiązkowej „myśli karnej i zorganizowanej" najgorzej wyszedłby sam p. Hempel. „Myśl kar-na i zorganizowana" uniemożliwiłaby mu przechodzenie licznych metamorfoz duchowych. Przecież, wygłaszając przed dwunastu laty w Paryżu swój odczyt „Doświadczenie religijne" (wydrukowany następnie w krakowskiej „Krytyce"; osobna odbitka r. 1912), nie prowadził wcale zacieklej walki z przesądami klerykalnymi, ale przeciwnie występował poniekąd w obronie tych „przesądów" i mówił między innymi:

„W doświadczeniu tem Bóg" (wyraźnie „Bóg", a nie wyobrażenie Boga) „jest równie niewątpliwym czynnikiem, jak prąd elektryczny w pierwszym lepszym doświadczeniu laboratoryjnym" (os. odb., str. 15).

„I tym sądom, tym orzeczeniom, opartym zwykle na głębokiej umiejętności najkorzystniejszego wyzyskiwania pewnych zasadniczych potrzeb duszy ludzkiej, tej wiekami całemi udoskonalanej kościelnopanstwowej mądrości przeciwstawi się co? Fryturą sosów wyborczych woniejący płytki antyklerykalizm, który zajmuje się głównie księżemi gospodyniami; lub t. zw. **wolnomyślicielstwo**, usiłujące wbrew wszystkim prawdom dziejowym dowieść, że religja jest głupstwem, że człowiek społeczny powinien być bezreligijny, bo taka moda panuje dzisiaj w „kulturalnem społeczeństwie" (str. 25).

„A przecież Pan Jezus, Matka Boska i Święci Pańscy, to nie czyjeś tam wymysły, ani złudy dziecinne, to żywe, do dzisiejszego dnia działające postacie. Pan Jezus pod daszkiem na krzyżu na rozstajnych drogach i ten w kościele w oplatku utajony — to nie jakiś tam z papierów wygrzebany myt astralny, jeno żywy czynnik zmian społecznych i indywidualnych. On jest i żyje tak niewątpliwie, jak ja i ty, czytelniku.

„I Matka Boska Częstochowska — to nie obraz w stylu bizantyjskim, jeno prawdziwa do dnia dzisiejszego nam panująca Królowa Polska. Zaprzeczać tego jej charakteru jest to zaprzeczać faktom najbardziej oczywistym. Ona prawdziwie jest Królową Polską; a panowanie jej tem potężniejsze jest i tem wyróżnia się od zwykłych świeckich panowań, że ona panuje przede wszystkim w sercach ludzkich: od chwili narodzin spogląda na nas ze ściany nad kolebką, przemawia w pieśniach matczynych; błogosławi zasiewom jesiennym i kwiatami sypie w nabożeństwach majowych; towarzyszy nam wszędzie — w więzieniach i u podnóża męczeńskich szubienic, w głębi kopalni, w piekielnym hurkocie maszyn i w dalekich puszczech amerykańskich; od kolebki do grobu, od pałacu do półrozwalonej pozawiejskiej chaty — jest wszędzie i zawsze. Współ z Synem swoim urabia nas, wpływa na nas, kształtuje nas podług zamiarów swoich.

„I to nie od dzisiaj, jeno od lat tysiąca. Pora więc, pora już wielka, krytycznie spojrzeć na to panowanie i zapytać się nareszcie, **dokąd ono nas prowadzi?**”

„Zaczęto już wprawdzie krytykować zewnętrzne, że tak powiem polityczne wyniki tego panowania. Lecz w tym wypadku, w tego rodzaju panowaniu, stokroć ważniejsze są jego skutki wewnętrzne, etyczne.

„Pan Jezus i Matka Boska powołali do życia cały szereg świętych, czyli wzorców idealnych; pod ich błogosławieństwem pracuje mnóstwo instytucji, kształtujących dusze ludzkie; wyraźne dowody ich pracy, ich wpływu, ich rządów spotkać można na każdym niemal kroku — a przecie prawie nikt zajmować się niemi nie raczy.

„Pan Jezus i Matka Boska, czyli, mówiąc w innym języku — cała etyka judaistyczno-chrześcijańska, prowadzi, polaryzuje nas ku pewnemu ideałowi etycznemu. Ideał ten bezkrytycznie, biernie przyjęliśmy za najlepszy, za jedyny niemal. Ale oto przyszła pora zestawienia z tym ideałem naszych najserdeczniejszych, najszczytniejszych dążeń i zapytania się, czy on z niemi jest zgodny?

„Przyszła pora szczerego odpowiedzenia sobie na pytanie, czy chcemy nadal być pod panowaniem judaistyczno-chrześcijańskiego ideału etycznego?” (str. 26).

Nie robię panu Hempelowi zarzutu z tych jego metamorfoz, z tych jego wahań, z tego balansowania między katolicyzmem sentymentalnym a wolnomyślicielstwem i bezwyznaniowością, między antysemityzmem a socjalizmem. Tylko matołki i wogóle ludzie ograniczeni nie zmieniają swych przekonań i poglądów. Ale czy pan Hempel nie dokonywał zbyt rażących skoków w dziedzinie zapatrywań na kwestje religijne i społeczne? Mniejsza jednak o to. Jeżeli jednak sam p. Hempel dokonywał tych łamańców, oczywiście kierując się „łobuzerskim wolnomyślicielstwem burżuazyjnym”, to dla czego zabrania on tego innym pragnąc despotycznie zakneblować im usta kagańcem „myśli karnej i zorganizowanej?” Czyż prawdziwa wolność tylko dla niego istnieje?

Dziś p. Hempel twierdzi, że „ruch robotniczy przynosi ze sobą rzeczywiste wyzwolenie od przeżytków religijnych” (Myśl Wolna 1923 Nr. 6, str. 14), że „w innych krajach... klasa robotnicza na własną rękę prowadzi walkę z przeżytkami religijnymi, a burżuazyjne organizacje wolnomyślne, odgraniczywszy się od klasy robotniczej, wędzną po kącikach życia społecznego” (str. 15), że „**кто rzeczywiście chce podejmować walkę z klerem wszystkich wyznań i z przesądami religijnymi, ten musi oprzeć się na klasie robotniczej**”, czyli, inaczej mówiąc, „**zadaniem wolnomyślicieli jest prześwietlanie teoretyczne przesądów**”

religijnych i jak najszersza propaganda antyklerykalna, prowadzona w celu ułatwienia klasie robotniczej jej walki o nowy porządek świata". (str. 15—16).

Wolno zapytać: Czy p. Hempel mówi to szczerze i naiwnie, czy też używa tych opartych na pomieszaniu pojęć zwrotów ze względów taktyki partyjnej, w środkach nie przebiegającej?

Oczywiście sam p. Hempel, jako człowiek wyjątkowo czysty pod względem etycznym, mówi całkiem szczerze, a, jako umysł światły i wyższego polotu, daleki jest od dążenia, w imię „karności” i „organizacji”, do jakiegokolwiek „dyktatury”. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w głowach ciasnych i zacietrzewionych „myśl karna i zorganizowana” może się bardzo łatwo utożsamiać np. ze sławetną „dyktaturą proletariatu”, t. j. dyktaturą garstki awanturników i fanatyków, a na myśl o takiej dyktaturze, urzeczywistnianej w Rosji współczesnej, ciarki przechodzą po skórze nie tylko burżujów, ale także najautentyczniejszych proletariuszów.

Myśli prawdziwie wolnej nie wolno być niewolnicą żadnej partii, żadnej klasy społecznej, żadnego narodu, żadnego możnowładcy, ani jednogłowego, ani wielogłowego, żadnego wyznania, choćby takim wyznaniem była nawet bezwyznaniowość fanatyczna. A właśnie „myśl karna i zorganizowana” doskonale się nadaje do pełnienia takich posług niewolniczych.

P. Hempel utożsamia „masonerję” czyli „wolnomularstwo” z „wolnomyślicielstwem” (M. W. 1923 Nr. 5, str. 13—14). Tymczasem wszelkie sekciarstwo, połączone z dziwaczными obrzędami, z tajemniczymi szeptami, z dzieleniem członków i zwolenników na całkiem wtajemniczonych, na mniej wtajemniczonych i na stojących poza tajemniczością, — chociażby nawet taka sekta nazwała siebie wolnomularstwem, — jest po prostu przeciwnieństwem prawdziwego wolnomyślicielstwa. Może to być co najwyżej zabawa w wolnomyślicielstwo.

Wogóle wszelkie masowe wolnomyślicielstwo jest utopją i po prostu bzdurstwem. Tłum nigdy nie może myśleć swobodnie i niezależnie. Myśl wolna może być właściwością jedynie duszy jednostkowej. Sprzęganie zadań wolnomyślicielstwa z interesami czy to „arystokracji” lub „demokracji”, czy to „burżuazji” lub też „klasy robotniczej” jest niedorzecznością. Co innego egoistyczne interesy w dziedzinie politycznej i ekonomicznej gospodarczej, a co innego bezinteresowne, niczem niekrępowane zdobycze „myśli wolnej”, rodzącej się i rozwijającej tylko w duszach pojedynczych, chociaż oczywiście przekazywanej tradycyjnie od jednego śmiałego umysłu do drugiego i mogącej ogarniać nawet większą ilość takich śmiałych umysłów.

Wobec tego wszelkie „Stowarzyszenie Wolnomyślicieli”

wyduje się sprzecznością samą w sobie.. Istotnie byłoby ono sprzecznością, o ileby dogmatyzowało pewne wierzenia, przekonania, dążenia intelektualne i nakazy moralne. Stowarzyszenie wolnomyslicieli może mieć rację bytu tylko jako połączenie się w organizowaną grupę ludzi, chcących bronić się wzajemnie przeciw wszelkiemu przymusowi i przemocy w dziedzinie myśli, przeciw wszelkiej dyktaturze.

Zgodnie z tem żądanie „gminy bezwyznaniowej“ jest tylko tymczasowem złem koniecznem (malum necessarium). Ostatecznym celem wolnomysliciela w tej dziedzinie powinno być przeprowadzenie bezwzględego rozdziału państwa i kościoła, a raczej kościołów, urzeczywistnienie prawdziwego uświecczenia (laicyzacji) życia, zaprowadzenie jedynie obowiązującego, a nie tylko obłudnego lub też tolerowanego, „stanu cywilnego“. Obywatela państwa powinno obowiązywać jedynie rejestrowanie się w księgach stanu cywilnego i zawieranie umów świeckich. A po za tem każdy może utrzymywać stosunki z duchownymi tego lub owego wyznania, zależnie od gustu i upodobań, bądź to osobistych, bądź też rodzinnych. Po przeprowadzeniu absolutnego rozdziału między kościołami a państwem wszelka „gmina bezwyznaniowa“ staje się zbyteczną.

P. Hempel wraz z wielu innymi twierdzi, że ostatecznie „rozstrzyga interes klasowy“. Rzeczywiście w życiu zbiorowem rozstrzyga interes, nie tyle klasowy, ile raczej osobisty, boć ostatecznie interes klasowy o tyle tylko może zainteresować jednostki, w skład tłumu wchodzące, o ile dopięcie celów „klasowych“ gwarantuje zaspokojenie potrzeb egoizmu indywidualnego. Używane przytem ze względów taktycznych górnolotne hasła są tylko mydleniem oczu i łapaniem naiwnych na wędkę „ideowości“.

Podobnie wzniosłe hasła patriotyczne maskują często gęsto chęć robienia na nich dobrego interesu i nabijania własnej kieszeni.

Aleć wszystko to z wolnomyslicielstwem nie ma nic wspólnego.

J. Baudouin de Courtenay.

Ze spraw bieżących.

Z licznych dotychczas otrzymanych odpowiedzi na naszą ankietę wywnioskowaliśmy, że pytania nasze nie były dość wyraźnie postawione. Czytelnicy nasi w przeważnej liczbie zrozumieli, że „człowiek religijny“ musi należeć do jakiegokolwiek

kościola, przeciwko czemu zupełnie słusznie protestowali. Tłumaczymy więc niniejszym, że „religijność” rozumiemy, jako osobistą wiarę jednostki w istnienie jakiejś siły wyższej od człowieka, bez względu na formę, jaką tej sile nadaje. W tym znaczeniu człowiekiem religijnym będzie i panteista, i teozof, i każdy wierzący w dalszy, w jakiegokolwiek bądź postaci byt jednostki po jej śmierci fizycznej — w przeciwstawieniu do ateusza, dla którego życie ziemskie jest początkiem i końcem jego świadomego bytu duchowego.

Po tym wyjaśnieniu uprzejmie prosimy naszych czytelników o dalsze nadsyłanie odpowiedzi na naszą ankietę.

Redakcja.

Na skutek licznych zapytań, otrzymywanych przez nas od naszych członków, w sprawach związanych ze ślubami cywilnymi, metrykami i t. d., zawiadamiamy, że wszelkich wyjaśnień dla bezwyznaniowców udziela adwokat ob. dr. Adler w Krakowie, ul. Straszewskiego 26, (biuro prawnicze „Codex”).

Od kilku członków Koła Akad. Stow. Woln. Polskich otrzymaliśmy list, w którym podpisani protestują przeciwko treści i formie artykułu p. n. „Święta i świętowanie”, pomieszczonym w grudniowym numerze „Myśli Wolnej”. Protestujący wychodzą z założenia, że obchodzenie świąt winno być sprawą czysto indywidualną, a proponowanie mniej lub więcej dogmatycznych osobistych poglądów uwłacza stanowisku wolnomyślicieli. Wkońcu proszą o wyjaśnienie tej sprawy.

Zwracamy przedewszystkiem uwagę, że artykułik ten nie był komunikatem Zarządu Stowarzyszenia, ani nawet redakcji pisma, a wyrazem osobistych poglądów autora, który w formie nieco żartobliwej wskazywał, że dotychczas wszyscy obywatele kraju, bez względu na swe przekonania a nawet wyznanie, są **obowiązani policyjnie** do święcenia pewnych dni w roku; święta te przeważnie odnoszą się do życia Jezusa lub rodziny jego, jak np. Boże Narodzenie, Nowy Rok (obrzezanie Jezusa), Trzech Króli, Zielone Świątki (zmartwychwstanie) i t. d.; prócz tego są jeszcze święta dogmatyczne, jak „Boże Ciało” i quasi-historyczno-narodowe, jak św. Stanisława.

Autor uważa, i zdaje się — dość słusznie, że święcenie tych świąt kościelnych przez wolnomyślicieli byłoby dość dziwne; ponieważ jednak sądzi, że dni odpoczynkowe, poświęcone rozrywkom, czy zabawie, są dla ludzi pracujących konieczne,

daje przeto projekt zastąpienia świąt kościelnych przez święta obyczajowe lub społeczne.

Nie jestto pomysł zupełnie nowy: wielka rewolucja francuska zniosła w swoim czasie wszystkie stare święta kościelne i ustanowiła nowe, społeczno-polityczne, co się zresztą nie utrzymało. Stany Zjednoczone ustanowiły w roku 1906 „święto matek”, którego widomą oznaką jest biały kwiatek, wpięty w klapę marynarki nawet tych synów, co się wciąż ze swemi matkami kłóca. Nasz sejm uchwalił, aby dzień 3 maja był świętem narodowym, a robotnicy uważają znów dzień 1 maja za swoje święto powszechne, co w Rosji stało się już prawem.

I gdyby któryś z posłów naszych podchwycił myśl ob. Górskiego i przeprowadził przez sejm wniosek uznania dnia 10 października za „święto miłości”, to wszyscy sklepikarze, zarówno chrześcijańscy jak i żydowscy, musieliby zamykać swoje kramy tego dnia, i prawomyślni obywatele uważaliby sobie za obowiązek narodowy kochać się przez 24 godziny.

Nie widzimy, doprawdy, czem luźny projekt autora niefrasobliwego artykułu mógł urazić wolnomysłcielskie uczucie protestujących akademików — chyba niezbyt odpowiednią formą. No, ale to już trudno — nie każdy może być Anatolem France'm!

Arcy-katolicka Hiszpanja znów daje światu bezpłatne widowisko, jak to nadzwyczajna gorliwość rzymsko-katolicka idzie w parze z prawdziwą Chrystusową sprawiedliwością i miłosierdziem. Świeżo jeszcze mamy w pamięci zamach na prezydenta ministrów, p. Dato, zabitego przez niewiadomego sprawcę. Policja, nie mogąc znaleźć prawdziwego winowajcy, zrobiła to, co zwykle robi policja: aresztowała kilkudziesięciu syndykalistów, wybrała z pomiędzy nich dwóch z brzoza i oświadczyła, że to są właśnie zabójcy. Domniemanych przestępców miał sądzić sąd przysięgłych.

Tymczasem, po kilku tygodniach nadeszedł do sądów hiszpańskich list niejakiego Casanelli z Moskwy, który oświadczył, że to on właśnie dokonał zamachu z pobudek politycznych, poczem umknął do Rosji. Ponieważ jednocześnie przeciwko obydwu aresztowanym syndykalistom, Mateu i Nicolau, nie było żadnych dowodów, ale nawet poszlak, sprawa wydawała się tak jasna, że **obrona zrzekła się badania świadków odwodowych.**

W tym samym czasie jednak hiszpański naśladowca Mussoliniego gen. Primo de Riveira, urządził zamach stanu na rzecz króla, kleru, wojska — i siebie samego. Podobno było to Hiszpanji potrzebne wobec niepowodzeń militarnych w Maroku.

i wzrastającego ruchu republikańsko-wolnomysłnego. Zamach się udał, i nowy dyktator przedewszystkiem zniósł sądy przysięgłych i wbrew konstytucji i logice, które widocznie dyktatorów nie obowiązują, oddał sprawę do rozpatrzenia sądowi wojennemu. Raz - dwa — sąd wojenny skazuje obydwu oskarżonych na karę śmierci — bez apelacji. Jakie siły były tam czynne — nie wiemy dokładnie, ale nie trudno się domyśleć, jeśli sobie przypomnimy prawie identyczny proces Ferrera.

Cały świat ucywilizowany zadrzał z oburzenia. Protesty napływają ze wszystkich ośrodków kultury na świecie na ręce króla Alfonsa. Ale czy to co pomoże? Pozwalamy sobie wątpić. Święta Hermandada nie wypuszcza ofiar, które jej się do rąk dostały!

Ale przyjdzie czas, kiedy wielki naród hiszpański strąśnie z siebie z obrzydzeniem jarzmo niewoli fizycznej i duchowej, a wtedy lud postawi ołtarze pamięci swoich męczenników w tym miejscu, gdzie niegdyś lała się ich niewinna krew...

Nie tak dawno jeszcze temu, bo zdaje się, że w zeszłym roku, akademicy żydowscy, zgrupowani w „Zjednoczeniu Polaków pochodzenia żydowskiego“ zaskarżyli do sądu jednego z publicystów „narodowych“ za to, że ich w piśmie swoim ochrzcił mianem „bolszewików“. Sąd oczyścił oskarżycieli z tej „ohydy“, a oskarżonego „poprosił siedzieć“ za oszczerstwo.

A stało się to dzięki temu, że miano „bolszewik“ w dzisiejszych czasach w Polsce nie oznacza bynajmniej zwolennika pewnej teorii politycznej czy społecznej, lecz wroga Polski, naszego ustroju państwowego, porządku społecznego i t. d.; innymi słowy: być bolszewikiem — to znaczy być przestępcą politycznym, narażonym w każdej chwili na areszt, więzienie lub deportację.

Zdałoby się, że w takich warunkach każdy człowiek uczciwy dwa razy się namyśli, zanim swego przeciwnika ochrzci tym zdrażliwym mianem, a nigdy tego nie uczyni, nie mając dowodów w ręku. Tak — każdy człowiek uczciwy, ale nie publicysta z „Gazety Warszawskiej“, półurzędowego pisma więszości narodowej.

Stowarzyszenie Wolnomysłcicieli Polskich jest instytucją ściśle apolityczną. Nietylko wyraźnie to zaznaczono w ustawie naszej, ale i w „Myśli Wolnej“ niejednokrotnie dawaliśmy wyraz temu pogładowi, że prawdziwy wolnomysłciel nie może być w tej dziedzinie swej działalności człowiekiem partyjnym, przy przyjmowaniu tedy nowych członków zarząd stowarzyszenia nigdy nie stawia pytania, do jakiej partji należy kandydat, tylko

— czy jest wolnomyślicielem i czy gotów jest zasady wolnomyślicielskie stosować w miarę sił i możliwości w życiu osobistym.

Zarówno działalność stowarzyszenia, jak i kierunek pisma, są również ściśle wolnomyślicielskie — od wszelkiej akcji politycznej stoimy zdala. O tem wiedzą nasi przyjaciele, wiedzą też i nasi wrogowie, którzy dotychczas zwali nas masonami, burzącymi podstawy religijne ludu polskiego, żydami, walczącymi z Chrystusem i t. d.

Ale „Gazeta Warszawska” poszła dalej; oświadcza, że jesteśmy bolszewikami, że wydajemy „Myśl Wolną” za sowieckie pieniądze, że jesteśmy ekspozyturą przewrotowców politycznych, i że, wraże wytoczenia nam z tego tytułu procesu, Rosja sowiecka nie omieszka zaproponować rządowi polskiemu wymianę na zakładników, trzymanyh przez nią w więzieniach sowieckich. I to wszystko — z wymienieniem nazwisk...

Słowem — denuncjacja jak moskale mówią; po wsiem prawilałm iskustwa (podług wszelkich prawideł sztuki).

Nie umiemy w polemice posiłkować się wyrażeniami, których z takim zamiłowaniem używają rewolwerowi pisarze obozu narodowego, nie możemy więc dosadnie określić wartości etycznej postępowania redakcji „Gazety Warszawskiej”. Chcielibyśmy tylko, tak zupełnie poufnie, zapytać szanownego pana redaktora: „powiedz no redaktor prawdę, który to z cadyków żydowskich wpłynął na ciebie w takim delatorskim duchu? Bo przecież oni „kropka w kropkę” to samo o nas mówią! A chociaż wiemy, że łączy was serdeczna przyjaźń, oparta na wspólności interesów, to przecież dotychczas nie wiemy, z którym to kierunkiem „cadyckim” najbardziej sympatyzujecie, z tym „od koszernych cycelesów”, czy też z tym, co to pobudza do rodzenia bezpłodne męzatkę? Zdaje się, że z tym drugim, bo po pierwsze, słyszeliśmy, że to jego byli akolici są obecnie, po przyjęciu chrztu świętego, głównymi współpracownikami prasy narodowej, a powtóre — powtóre... no, to figlarz z redaktora, i to zdaje się jest pole, na którym redaktor wykazał dużo więcej rozumu, niż w dziedzinie publicystyki i polityki...

Doczekaliśmy się nareszcie i tego, że ewangelicy wyznania augsburskiego nazwali nas, wolnomyślicieli, fanatykami. A stało się to w Nr. 45 „Głosu Ewangelickiego” z dn. 11 listopada 1923 r. Notujemy tę datę na wieczną rzeczy pamiątkę.

Otóż twierdzi G. E., krytykując artykuł nasz p. n. „Fanatycy”, że żadna nieprzebyta przepaść nie dzieli fanatyzmu rzymskiego od fanatyzmu „wolnomyślicielskiego”, że więc nasz podział wyznań na mniej i więcej postępowe jest niesłuszny. Co

ma znaczyć: jedyny prawdziwy Chrystusowy kościół—to ewangelicko-augsburski, wszystkie zaś inne, łącznie z „kościółem wolnomysłcielskim” — to gniazda zacofania i fanatyzmu.

Co prawda, nie spodziewaliśmy się niczego innego od żadnego kościoła, a więc i od samego augsburskiego, i przyjęlibyśmy tę admonicję z Chrystusową pokorą, gdyby nie parę uwag treści dogmatycznej, na które pozwolimy sobie odpowiedzieć.

G. E. pisze:

„Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą”, — czytamy we wstępnym artykule p. n. „Fanatycy” — „że wolnomysłciele polscy z dużą sympatją odnoszą się do różnych sekt, protestujących swem istnieniem przeciwko hegemonji panującego kościoła katolickiego; nie — iżbyśmy się przejmowali odmiennymi dogmatami kościelnymi, lub uważali jedne dogmaty za lepsze, niż drugie: bo cóż nam w rezultacie za różnica, czy ktoś przyjmuje komunię w jednej czy w dwóch postaciach lub czy otrzymuje chrzest w pierwszym czy dwudziestym roku życia, lub czy żegna się dwoma czy trzema palcami? O te różnice dbamy właśnie tyle, co dbałby o nie sam Jezus, gdyby się teraz zjawił na świecie”.

Według zdania zatem autora słów powyższych Pan Jezus czyniłby właśnie to samo co lada wolnomysłciel? Skromność i obiektywność, niema co mówić. Dotychczas przywłaszczali sobie Jezusa „potulni” socjaliści, dziś już nie cofają się przed taką aneksją jawni bezwyznaniowcy. Maluczko, a tęga głowa któregoś z tych panów wynajdzie, że Zbawiciel nasz był najzarliwszym propagatorem ateizmu. Bez żadnych dowodów mówi się, że Jezus, ustanawiając chrzest czy komunię, wcale nie przywiązywał do nich wagi, i basta, dyskusja skończona. Nam ewangelikom akurat się widzi, — chociaż dbamy o to, jak o zeszłoroczny śnieg, czy się kto żegna trzema czy dwoma palcami, — że **gdyby** Chrystus Pan dzisiaj odbywał wędrówkę po ziemi, to nieraz przygarniałby do Siebie ludzi kornej wiary, co o te różnice dbają, a potępiłby pyszałkowatych saduceuszów, którzyby Go z drwiącą miną, jak niedys pytali: „Mistrzu! czy możliwe jest zmartwychwstanie?” (patrz Mat. 22, 21—32 i „naukowe” teorie zmartwychwstania w Myśli Wolnej”).

Pomijamy nawet, że autor krytyki świadomie przeinaczył nasze słowa, podając, żeśmy twierdzili, że Jezus nie przywiązywał wagi do chrztu czy komunji, podczas gdy pisaliśmy wyraźnie, że nie dbałby o różnice w sposobie przyjmowania komunji lub chrztu; może to tylko nieuwaga. Ale dlaczego autor obraża nas, wątpiąc, czy Pan Jezus czyniłby właśnie to samo co lada wolnomysłciel? Czyż na zakłęcie lada pastora ewangelicko-augsburskiego nie wstępuje ciałem i krwią swoją w opłatek i wino? I dlaczego autor mówi o „przywłaszczaniu” sobie

Jezusa przez socjalistów, czy wolnomyslicieli, jakgdyby Jezus był prawną własnością tylko ewangelików augsburskiego wyznania? I jakim prawem autor twierdzi, że Chrystus by dziś potępił nas, „pyszałkowatych saduceuszów”, a nie was „faryzeuszów i uczonych w piśmie”?

Piszący te słowa miał zaszczyt rozmawiania z przedstawicielami kilku sekt, istniejących w Polsce, i z prawdziwą przyjemnością stwierdza, że często spotykał się z dużym zrozumieniem i tolerancją dla swego szczerego stanowiska. Widocznie jednak kościół ewangelicko-augsburski uważa siebie za „prawie państwowy” i z tego tytułu stawia nam tego rodzaju zarzut: „Wyrocznią dla każdego „wolnomysliciela” nie jest oczywiście ani biblja, ani sobory, lecz własna drogocenna osoba, którą nie zawsze można nazwać charakterem. Mówiąc nawiasem, wolnomysliciele pod tym względem przypominają wielu tak zwanych ewangelików, co nigdy nie uznają żadnego autorytetu nad sobą, a w gruncie rzeczy są niewolnikami własnego widzimisie”.

A wy, ewangelicy augsburscy, wolelibyście pewnie, abyśmy byli niewolnikami waszego widzimisie? Lub żeby wyrocznią dla nas były chociażby wasze sobory, prawda? Czemże tedy różnicie się od „nieomylnych” rzymskich katolików?

Wychodząca w Siedlcach „Gazeta Podlaska” podaje taki projekt: „Publiczność cywilna powinna salutować sztandary pułkowe — a specjalnie pułków konsystujących w Siedlcach — przez jedyny dostępny dla niej sposób: uchylanie kapelusza”.

Brawo, p. A. J.! Tak właśnie być powinno! Przymusowe obnażanie głowy naprzód przed krzyżem, potem przed sztandarem pułkowym, a potem przed kapeluszem Dmowskiego, zawieszonym na kiju. To już nawet gdzieś było... aha, w Szwajcarii, przypominam sobie. Żeby tylko w Siedlcach nie zjawił się Wilhelm Tell!...

Od pierwszej chwili powstania naszego pisma bijemy na alarm, że kler wszech wyznań, korzystając z upadku sił ludzkości po długiej, okropnej wojnie, wziął się czynnie do odzyskania terenu, utraconego w ciągu kilku dziesięcioleci, w czasie których przy względnym spokoju rozwinęła się kultura wśród ludów Europy.

Nie pozostał też w tyle i kler żydowski. Zachęceni przykładem księży rzymskich, czy ewangelickich, rabini i cadycy, a głównie ci ostatni, zabrali się nie na żarty do roboty, t. j. do walki ze zbyt ucywilizowanymi swymi współwyznawcami. A pomaga im w tej zbożnej pracy silna prasa żydowska i organizacje polityczne chasydzkie, rozporządzające dziś, niestety, bardzo silnymi wpływami. Zaznaczyć jeszcze należv, na wieczny wstydy

dla innych partji żydowskich, jak sjonistyczna, ludowa żydowska, że całemu temu, oglupiającemu do reszty ciemne masy ludu ruchowi, nie chcą się przeciwstawiać, drżąc o głosy chasydów przy następnych wyborach. Nawet socjalistyczny „Bund” na zakusy te reaguje bardzo słabo, trzymając się widać zasady, że domowe brudy trzeba prać w domu.

Niedawno cała dzielnica żydowska została wzburzona niezwykłym faktem: cadyk radzymiński zrobił cud — ni mniej, ni więcej — tylko prawdziwy cud. Jakiś właściciel cukierni, żyd, nie chciał, pomimo nakazu cadyka, zamykać swego zakładu w sobotę. Wtedy cadyk chwycił się najsilniejszej broni, jaką posiada narazie, dopóki Koło żydowskie w sejmie nie przeforsuje cadyka z Góry Kalwarji na ministra oświaty i wyznań, mianowicie — przeklął go. I — o cudo! Po pewnym czasie cukiernik umarł! Ponieważ nie robiono sekcji, nie można więc było sprawdzić, czy denat nie miał aneuryzmu serca, lub czy w żołądku jego nie było śladów trucizny. Umarł — a więc stał się cud.

Sprytny cadyk i jego czciciele znakomicie wyzyskali ten szczęśliwy dla nich zbieg okoliczności: nie głupszy są od swych braci w Jehowie z Lourdes czy innej cudownej miejscowości. Rozpoczęli gwałtowną akcję za zamykaniem wszystkich żydowskich sklepów w sobotę, grożąc opornym klątwą, która, jak się już naocznie przekonali, sprowadza w krótkim czasie gwałtowną śmierć. Przyjawszy do spółki jeszcze cadyka z Piaseczna wraz z jego zwolennikami, chasydzi urządzili rzecz po kupiecku: poczęli zwoływać zebrania „branżowe”, na których bogu ducha winni kupcy zmuszani byli pod presją do podpisywania zobowiązań, że w soboty kupczyć nie będą.

W agitacji tej zresztą pomagają podobno cadykom nawet „wolnomyślni” sjonisci, którym to jest na rękę, by móc się powoływać w sejmie na fakt, że prawo handlu w niedzielę jest „narodowym” postulatem wszystkich żydów.

Znamiennym dowodem, jak się rozwydrzyła tłuszcza chasydzka, jest sprawa „Ogniska” dla studentów - żydów. Zarząd Gminy żydowskiej ofiarował studentom plac na Pradze, na którym miał stać dom akademicki. Na tejże jednak posesji stoi, czy też ma stać, bożnica Jehowy. Zdawałoby się, cóż może być lepszego? Akademicy, mając tuż pod bokiem tak pojętą świątynię, napewno przestaną w sobotę chodzić na wykłady, a poczną błagać Jehowę, by pomógł im znieść „numerus clausus”. Ale chasydzi są innego zdania: przedewszystkiem — pragnęliby zamiast „numerus clausus” przeprowadzić nakaz absolutnego wykluczenia żydów ze wszelkich uczelni wyższych, średnich i niższych, dając im cheder zamiast szkoły powszechnej, talmudtorę zamiast gimnazjum, a zamiast uniwersytetu — wyższe studja Kabały pod okiem „specjalisty”. Powtóre — nie wierzą

znów tak bardzo w siłę pociągającą swoich bożnic i kultu Jehowy. Po trzecie — boją się, że akademicy mogą przykładem swoim źle wpływać na pobożną młodzież, uczęszczającą do bożnicy.

Rozpoczęła się więc namiętna walka o plac między zarządem gminy żydowskiej, który już zobowiązał się wobec akademików, a chasydami, żądającymi, by plac ten im oddano. Chasydzi poczęli wiecować. Jeden z cadyków oświadczył swym czcicielom, że gdy był na cmentarzu warszawskim przy grobie jakiegoś strasznie świętego cadyka, tenże „wzniósł głos” z głębi ziemi i zażądał, by żydzi nie dopuścili do znieważenia świętego podwórza bożnicowego przez wystawienie trefnego przytulku dla bezdomnych studentów-żydów.

Fanatyczne zacierzewienie tłumu doszło jednak do zenitu, gdy senjor rabinów warszawskich, poseł Perlmutter, który sam głosował na zebraniu zarządu gminy za oddaniem akademikom placu pod budowę, na następnym posiedzeniu, widocznie pod naciskiem cadyków oświadczył, że gdy po pierwszym posiedzeniu wrócił do domu, wtedy dopiero rozmówił się z Bogiem (autentyczne i dosłowne!) o czem poprzednio zapomniał, i że Bóg nie pochwała budowy domu akademickiego. Gdy wszakże zarząd gminy, nie przekonany tym istic biblijnym wtrącaniem się Jehowy do spraw, które go się nie tyczą, powtórnie zatwierdził darowiznę, chasydzi wpadli we wściekłość. Zebrawszy się w wielkiej liczbie na dziedzińcu gminy, przy ulicy Grzybowskiej, wyłamali drzwi, wdarli się przemocą do lokalu gminy i tak dokumentnie zdemolowali całe urządzenie, potłukli szyby, stoły, biurka i t. d., że lepiej by tego nie potrafili wykwalifikowani „pogromszczycy” z Homla czy Kiszyniewa.

Nie wiemy narazie, jaki jest dalszy los domu akademickiego: czy zarząd gminy stchórzy przed tłuszcą chasydzką i przyjmie z pokorą wyrok Jehowy, ferowany przez jego bezpośrednich zastępców na ziemi — cadyków, czy też policja państwowa wydeleguje dwóch szeregowców wyznania rzymsko-katolickiego dla przywrócenia porządku wśród wzburzonych czcicieli cudotwórcy, (ta liczba, zdaniem naszym, wystarczy, byleby wygląd ich był bezsprzecznie rzymsko-katolicki). Bo akademicy żydowscy z pod „Strzechy”, tak wielcy i wzniosli, gdy deklamują o godności narodowej żydów i ich „wolnomyślności” bez skazy, jakoś nie wykazują wielkich chęci do wystąpienia otwarcie przeciwko cadykom i ich czarnej reakcji na jedynej drodze, jaka im przystoi: przez propagandę wolnomyślicielstwa wśród ludu żydowskiego.

KSIĄŻKI NADESLANE.

Andrzej Niemojewski: Legendy, wyd. „Myśli Niepodległej”, wydanie czwarte, Warszawa, 1924. 16 × 24 cm., str. 196 z rys. Stanisława Dębickiego.

Znany ten zbiór legend został wydany poraz pierwszy w r. 1902 w Krakowie p. t. „Legendy o Matce Boskiej” (jeśli dobrze pamiętamy) i natychmiast skonfiskowany przez władze austriacko-galicyskie. Parlament uchylił konfiskatę pod warunkiem zmiany tytułu. Szło tu głównie o pierwszą z legend, p. t. „Wysłaniec”, w której autor próbował w sposób racjonalistyczny wytłumaczyć podanie o niepokalanym poczęciu. W następnym wydaniu książka nosiła nagłówek: „Tytuł skonfiskowany”, a w trzecim i obecnym: „Legendy”, wskutek czego utraciła częściowo pierwotną ostrość, która tak raziła drażliwych klerykałów. „Legendy”, pisane przepięknym językiem przez Niemojewskiego w czasie rozkwitu jego talentu, warto przeczytać, chociaż końcowe opowiadania pod względem ducha zupełnie się nie zgadzają z pierwszymi.

Kalendarz czytelników biblij na rok 1924, wskazówki do metodycznego studjum pisma świętego, wyd. tow. „Kompas”, Łódź, 11 × 14 cm., str. 16.

„Życie Akademickie” czasopismo młodzieży. Rok I, Nr. 1. Wyjątek z programu: „Życie Akademickie” programu polityczno-społecznego nie posiada, stawiając sobie za zadanie budzenie myśli tak w jednostkach, jak całej społeczności akademickiej”.

„Nowa Kultura”, czasopismo ukraińskie we Lwowie. Wyszedł z druku Nr. 7—8 za listopad-grudzień 1923 r. Red. Stefan Rudyk.

„Twórczość Młodej Polski”, miesięcznik ilustrowany. Rok I, Nr. 2—3, za listopad-grudzień 1923 r. Red. K. Gajewski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Ob. S. Bogdanowicz, Bodzentyn: Obydwa Wasze listy otrzymaliśmy. Na pytanie, zawarte w pierwszym, nie odpowiadamy, gdyż to nie ma nic wspólnego z wolnomyślicielstwem; do drugiego może jeszcze wrócimy, ale narazie wolimy zaczekać.

Ob. J. Dukat, w. Niemce: Księgarnia „Książka” była przez pewien czas zamknięta, teraz już znów jest czynna; zwróćcie się bezpośrednio do niej.

Ob. Józef Kolkowski, Sarnki Dolne: Za serdeczny list bardzo dziękujemy; w b. Kongresówce, niestety, jeszcze nie można ominąć niektórych ceremonij kościelnych; wierzymy, że z czasem i to nastąpi. Administracja odpisze Wam oddzielnie.

Ob. Z. T., Warszawa: Wykpiwanie nie jest krytyką, ani drwiny nie stanowią dowodu. W tej samej sprawie przeczytajcie artykuł w „sprawach bieżących” w tym numerze. Waszego artykułu nie umieścimy.

Ob. S. C., w. Grabowa: Przyznajemy się, że w „skrócie Waszych myśli“ nie mogliśmy się zorientować, i nie możemy naszym czytelnikom dawać takich zagadek do rozwiązywania. Poruszcie tylko jeden temat, a nie siedem, ale opracujcie go tak, aby zwykły śmiertelnik mógł zrozumieć, co macie na myśli.

Ob. L. Przeradzki, Grajewo: Adres brzmi: Free Thought Publication—Springfield, Mass. — 29 B, Main Street. — U. S. A.

Ob. J. M., Warszawa: „Dla świętego spokoju“ zawiera kilka uwag zupełnie słusznych, ale opracowanie jest zbyt słabe — nie umieścimy.

Ob. M. Marszałek, Chicago, Ill.: Hypnotyzm, sugestja, katalepsja i t.d. — to nie są żadne cuda. Niestety, nie mamy dość miejsca ani czasu, abyśmy Wam mogli to wyjaśnić. Jest dosyć książek naukowych, które o tem uczą. A co się tyczy historii o ludziach, co śpią przez rok cały, a w tym czasie obcują z duchami i z Bogiem, a po obudzeniu się wiedzą wszystko o tamtym świecie, to to są bajki, z których śmieje się każdy rozsądny człowiek. Nie dajcie się tumanić ludziom, co słyszeli, że dzwonią „tylko nie wiedzą, w którym kościele.

Anonimowi z Warszawy: Z zasady anonimom nie odpowiadamy. Nie wierzymy, że jesteście wolnomyslicielem, bo wolnomysliciel nie boi się podpisywać pod listem, w którym krytykuje zarząd stowarzyszenia lub redakcję pisma. Strzelających do nas zza płota niby-członków nie uznajemy za równych sobie, ani wogóle za ludzi przyzwoitych. Gorąco Was prosimy o wykreślenie się z listy członków stowarzyszenia i prenumeratorów naszego pisma.

Od dn. 9 stycznia r. b. mnożnik księgarski — 900.000, aż do odwołania przez Związek.

Wszelkie przesyłki polecone i pieniężne prosimy adresować wyłącznie do Administracji „Myśli Wolnej“, ul. Królewska 16 — Warszawa.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 44-70.

Administracja posiada na składzie w niewielkiej już ilości komplety „Myśli Wolnej“ z roku 1922 prócz Nr. 2, wyczerpanego w całości. Komplet, złożony z 6 numerów, wysyłamy na żądanie za zaliczeniem pocztowym w wysokości Mk. 2.200.000.

Na rachunek prenumeraty kwartalnej przyjmuje się Mk. 1.200.000.— Cena numeru Mk. 400000.— Prenumeratorzy nowi, lub ci, którzy nie wpłacili dotychczas zaliczki, płacą za wszystkie dotychczasowe numery po Mk. 400000.— Prenumerata za granicą o 100% drożej, w Stanach Zjednoczonych — 2 dolary rocznie.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 4470.

Redakcja: Warszawa, Poznańska 14 m. 19, tel. 126-55.

Administracja: Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14.

Redakcja czynna w poniedziałki i czwartki od 6—8 wiecz.

Administracja — codziennie od 9—4 w poniedziałki i czwartki — do 7 wiecz. w soboty od 9 do 1-ej.

Redaktor: JÓZEF LANDAU.

Wydawca i redaktor odpow. w imieniu Stow. Wolnom. Polskich D. JABŁOŃSKI.

Tłoczono w drukarni R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, ul. Chłodna № 37.